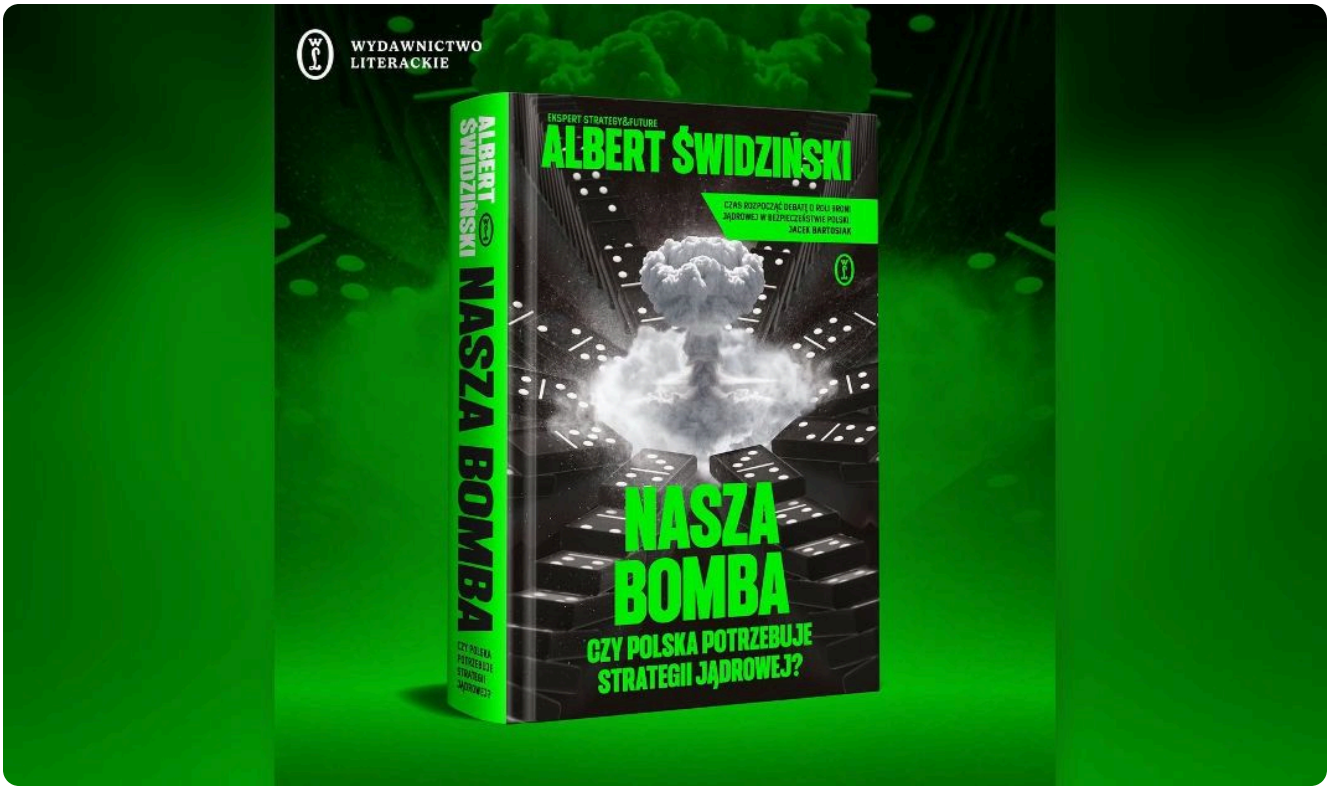
Albert Świdziński. „NASZA BOMBA” - WSTĘP

Strategy&Future

07.04.2026



Albert Świdziński

„NASZA BOMBA” - WSTĘP

W listopadzie 2024 roku CBOS przeprowadził sondaż dotyczący nastawienia polskiego społeczeństwa do broni jądrowej. Jego wyniki wskazują, że 64 procent Polaków obawia się nuklearnego ataku ze strony Rosji. 44 procent respondentów uważa, że nasz kraj powinien wziąć udział w programie NATO Nuclear Sharing, natomiast 40 procent badanych jest zdania, że Polska uczestniczyć w nim nie powinna (16 procent pytanych pozostaje niezdecydowanych). Co najciekawsze, aż 49 procent Polaków deklaruje, że są zwolennikami posiadania przez Polskę w przyszłości programu nuklearnego, podczas gdy do grona przeciwników tego pomysłu zalicza się tylko 36 procent obywateli.

Redaktorzy portalu Wirtualna Polska, w którym znalazło się omówienie wspomnianego badania, uznali za stosowne opatrzyć poświęcony mu artykuł nagłówkiem „Panika w Polsce rośnie”, co jest

konstatacją po pierwsze dość nieuprzejmą, a po drugie – bardzo możliwe, że nietrafioną. Czy obawa przed użyciem broni jądrowej jest objawem paniki, czy uzasadnionej obawy? Czy nie ma sensu przekonanie, że Polska powinna być państwem uczestniczącym w programie Nuclear Sharing? Oraz wreszcie: dlaczego przyjmować, że w chęci posiadania własnej broni jądrowej jest coś nieracjonalnego?

Oprócz tyleż irytującej, co typowej dla mediów głównego nurtu maniery deprecjonującej obawy Polaków w cytowanym nagłówku zaklęte jest coś więcej. Znajdujemy w nim głęboko zakorzeniony w polskich środowiskach opiniotwórczych nawyk respektowania ustalonego status quo: redaktorzy Wirtualnej Polski są apostołami normy nierozprzestrzeniania broni jądrowej – sami o tym nie wiedząc.

Najbardziej interesujące w badaniu CBOS jest jednak to, że w ogóle powstało. Jeszcze przed pełnoskalową inwazją Rosji na Ukrainę nikomu nie przeszłoby przez myśl pytać Polaków o uczestnictwo w Nuclear Sharing. Pytanie o posiadanie broni jądrowej mogłoby zaś zostać zakwalifikowane – szczególnie wśród dziennikarzy i analityków głównego nurtu – jako działanie niemal wywrotowe. I było tak nie tylko przez ostatnie trzydzieści lat końca historii, a zawsze – aż do dzisiaj. Nieobecność problematyki związanej z bronią jądrową – tego, czy ktoś nam nią grozi, tego, czy ktoś nas przed tymi groźbami chroni, oraz tego, czy ochrona ta jest wiarygodna dla nas oraz dla przeciwnika, i wreszcie: czy sami powinniśmy ją mieć – była mniej wynikiem niedojrzałości społeczeństwa, a bardziej niedojrzałości i nieświadomości elit; najpierw PRL, a następnie III Rzeczpospolitej.

Ze społeczeństwem bywało inaczej.

Truman, Truman, spuść ta bania,

bo to nie do wytrzymania.

Jedna bomba atomowa i wrócimy znów do Lwowa

– taką rymowankę powtarzano w Polsce na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, gdy rozpoczynała się wojna na Półwyspie Koreańskim, a wraz z nią wróciły nadzieje na wyrwanie się Polski z sowieckiej strefy wpływów; choćby za cenę globalnej wojny jądrowej. Prezydent Truman nie spuścił jednak „ta bania", nie zrobił tego również żaden z jego następców. Nie zrzucił jej też Józef Stalin ani ci, którzy przyszli po nim; ani żaden z innych przywódców państw dysponujących bronią jądrową. Ba, bani nie spuściła nawet Golda Meir podczas wojny Jom Kipur w 1973 roku – chociaż ważyły się wtedy losy Izraela.

Sama popularność rymowanki o Trumanie i bani wskazuje jednak na zasadnicze zainteresowanie polskiej publiki istnieniem broni jądrowej. Symptomatyczne jest przy tym, że świadomość nie tylko społeczeństwa, ale i elit politycznych Polski nie posunęła się zasadniczo do przodu od czasu, kiedy rymowanka ta stała się popularna. Wiemy, że broń jądrowa istnieje; wiemy, że nasz patron – kiedyś ZSRR, teraz USA – ją posiada; wiemy, że nasz przeciwnik – kiedyś USA, teraz Rosja – może jej wobec nas użyć. I na tym nasza wiedza się kończy, chociaż od końca lat czterdziestych XX wieku polskie społeczeństwo na jakimś poziomie zdaje sobie sprawę z tego, że broń jądrowa może zostać wobec nas użyta. Pomimo tego w debacie publicznej w Polsce – do bardzo niedawna – o broni

jądrowej nie mówiło się w ogóle. Oczywiście gdzieniegdzie o niej wspominano; czasem nawet o tym, że może być składowana na terytorium Polski przez ZSRR. Potem, po wstąpieniu naszego kraju do NATO, mgliście, gdzieś w peryferyjnym widzeniu, zaistniała świadomość, że Polska objęta jest parasolem nuklearnym Stanów Zjednoczonych. Niewiele tego wobec faktu, że w rzeczywistości Polska żyła w cieniu broni jądrowej od momentu, gdy ta powstała!

I żyje w nim nadal.

O obecnych groźbach użycia przez Rosję broni jądrowej na terytorium Polski będzie tu jeszcze mowa, w tym miejscu dość wspomnieć słowa Siergieja Karaganowa, byłego doradcy Władimira Putina, a aktualnie czołowego rosyjskiego komentatora polityki zagranicznej, który jeszcze niedawno otwarcie rekomendował przeprowadzenie prewencyjnych ataków nuklearnych na miasta w Europie – w tym na Poznań.

Nie zapominajmy jednak, że kiedy Polska była częścią bloku wschodniego, amerykańskie plany użycia broni jądrowej w przypadku wybuchu wojny z Układem Warszawskim również zakładały jej wykorzystanie wobec Polski. Na przykład dokument Atomic Weapons Requirements Study z 1959 roku zawiera listę celów ataków nuklearnych, nad którymi zdetonowane zostałyby ładunki jądrowe. Na liście tej znajduje się w sumie ponad tysiąc dwieście miast z bloku wschodniego – przy czym na każde z nich miało spaść kilka, kilkadziesiąt lub kilkaset ładunków. Dla zobrazowania – na Warszawę przewidziano trzydzieści dziewięć DGZ (Designated Ground Zeros; dla uproszczenia – pojedynczych ładunków); na Ożarów dwa, na Pruszków cztery, a na Poznań dwadzieścia. Na Radom zaś spaść miało pięć ładunków. Oczywiście wraz z ewolucją zdolności i doktryny użycia broni jądrowej USA zmieniała się liczba celów do zniszczenia za pomocą broni jądrowej – jednak nawet już w latach osiemdziesiątych XX wieku Ronald Reagan z przerażeniem odkrył, że elastyczność w doborze celów uderzeń bronią jądrową jest w znacznej mierze fikcją. W praktyce USA – gdyby wybuchł otwarty konflikt jądrowy z ZSRR – „waliłyby wszystkim”; swoją drogą, kiedy ówczesnemu prezydentowi USA wkrótce po objęciu urzędu przedstawiono menu celów broni jądrowej wobec bloku wschodniego miał – choć przecież do bojaźliwych nie należał – „nieomal zasłabnąć”.

*****

Badania nad bronią jądrową albo wręcz aktywne programy jej opracowania prowadziło lub nadal prowadzi dwadzieścia dziewięć państw. Są wśród nich kraje tak nieoczywiste jak Republika Południowej Afryki (która przez pewien czas była dziesiątym mocarstwem jądrowym i pozostaje jedynym państwem, które zrzekło się już znajdującej się w jego posiadaniu broni nuklearnej), ale też Jugosławia, Szwajcaria, Rumunia czy Argentyna.

Wśród tej dwudziestki dziewiątki nigdy nie było Polski; ba, o broni jądrowej nawet pisało się niewiele. Od czasu do czasu pojawiały się przekłady amerykańskich książek lub też przyczynkowe opracowania dotyczące polityki zbrojeniowej Stanów Zjednoczonych czy Rosji, skupiające się w przeważającej mierze na parametrach technicznych rodzajów uzbrojenia lub w najlepszym razie na suchym i pobieżnym opisie elementów doktryny deklaratywnej USA. Prawdziwych tekstów wyjaśniających ewolucję strategii nuklearnej USA, nie wspominając już o Rosji czy pozostałych mocarstwach nuklearnych, nie było właściwie w ogóle.

Na tej pustyni rozpoczęcie debaty nie jest łatwe; chcąc podejść do tematu w sposób ustrukturyzowany, powinno się zacząć od opisu ewolucji strategii jądrowej najpierw USA, potem ZSRR, a w końcu innych państw nuklearnych. Samo to jest niezwykle trudne; nie tylko z powodu mnogości zagadnień potrzebnych do poruszenia dla opisania ewolucji strategii jądrowej, ale również dlatego, że historia broni jądrowej jest zbiorem historii, w których nie została ona użyta, a ponadto z samej natury rzeczy dostęp do informacji jej dotyczących – od informacji technicznych, po plany użycia – jest bardzo ograniczony.

Co więcej, nawet gdyby skupić się wyłącznie na tym, jak ewoluowała amerykańska strategia nuklearna, okazałoby się, że jest kilka konkurujących ze sobą wytłumaczeń jej rozwoju – narracji rozwijających się jednocześnie, ale tworzonych przez zupełnie innych ludzi, o różnych poglądach, różnych doświadczeniach życiowych i zajmujących różne funkcje. Francis J. Gavin, profesor School of Advanced International Studies na Johns Hopkins University (a zarazem jeden z najbardziej poważanych historyków strategii broni jądrowej) zauważa, że istnieją co najmniej cztery takie nurty.

Pierwszy reprezentują „czarodzieje Armagedonu", czyli, mówiąc skrótowo, pracownicy think tanków takich jak RAND Corporation. To archetypiczni, genialni bądź szaleni naukowcy w typie doktora Strangelove'a z filmu Stanleya Kubricka, starający się zrozumieć i streścić politykom konsekwencje powstania broni jądrowej. Kiedy mówi się o strategii jądrowej, myśli się o spuściźnie intelektualnej naukowców z RAND-u, ale to tylko fragment historii.

Drugim nurt znajduje odzwierciedlenie w wystąpieniach ludzi, którym „czarodzieje Armagedonu" pomagali – a więc polityków. Dla nich broń jądrowa była narzędziem osiągania celów politycznych. Czasami miała odstraszyć przeciwników, czasami wymusić posłuszeństwo na sojusznikach, czasami uspokajać jednych i drugich – a przy okazji działać kojąco na społeczeństwo. Innymi słowy, wystąpienia te, choć odnoszące się często do konstrukcji intelektualnych stworzonych przez naukowców, nie były ich wiernym odbiciem – ich celem była przede wszystkim sygnalizacja polityczna.

Trzecią „wersją historii" jest to, jak w praktyce USA zamierzały używać swojej broni jądrowej – to znaczy, jakie systemy uzbrojenia jądrowego USA tworzyły oraz gdzie i w jakich ilościach je rozmieszczały. I choć wiele z tych informacji pozostaje niejawnych, w praktyce wydaje się, że aseptyczne i schludne teorie „czarodziejów Armagedonu" czy też polityczne wystąpienia amerykańskich urzędników miały tak naprawdę mało wspólnego z tym, gdzie, w jakiej ilości i jakiego rodzaju broń jądrowa posiadana przez Stany Zjednoczone się znajdowała. Konkludując: teoria i narracja swoją drogą, praktyka swoją – i drogi te przecinały się tylko czasami.

Wreszcie czwartą opowieścią o amerykańskiej strategii jądrowej jest to, co myśleli o niej i jak zamierzali z niej korzystać ci, którzy faktycznie mogli to zrobić, naciskając czerwony guzik – czyli prezydenci Stanów Zjednoczonych. Każdy z nich miał inny światopogląd i własne przekonania moralne, które z kolei tworzyły odrębne wizje tego, w którym momencie użyją broni jądrowej. To bardzo ważne, bo, koniec końców, tylko ich wizja miała znaczenie – ostateczna decyzja o użyciu broni jądrowej pozostawała wyłącznie w ich rękach.

Co być może jeszcze ważniejsze, wszelka rozmowa o broni jądrowej dotyczy tak naprawdę analiz sytuacji, w których nie została ona użyta. Poruszamy się więc w sferze historii alternatywnej (lub, jak

kto woli, kontrfaktycznej); mówimy o momentach, w których fakt istnienia broni jądrowej być może pozwolił na uniknięcie konfliktu; jednak to, że konflikt się nie wydarzył, sprawia, iż niemożliwe jest określenie, jaki wpływ na jego uniknięcie miała broń jądrowa.

Gdybym spróbował tu przedstawić czytelnikowi ewolucję i założenia strategii jądrowej USA – nie wspominając o innych państwach – książka ta liczyłaby tysiące stron i byłaby z gruntu odtwórcza, a w efekcie i tak opisałbym w niej tylko jakiś wycinek zagadnienia. Dlatego stawiam sobie inny cel, sądzę, że znacznie ciekawszy: ta książka ma być przede wszystkim próbą odtworzenia polskiej debaty publicznej na temat broni jądrowej i jej wpływu na bezpieczeństwo Polski. W szczególności zaś próbą udzielenia odpowiedzi na serię pytań, które były dotąd postrzegane jako tabu, zaczynając od najważniejszego, zadanego również przez ankieterów CBOS-u: czy Polska powinna mieć broń jądrową? I czy jest to w ogóle możliwe, zarówno pod względem politycznym, jak i technologicznym. W jaki sposób powinno się podejść do jej opracowania – a raz ją zdobywszy, jak powinniśmy kształtować nasze w tym względzie zdolności? Wbrew pozorom odpowiedź na pytanie „czy Polska powinna mieć broń jądrową?" wcale nie jest oczywista – pomimo tego, że zdaniem wielu (moim również) to właśnie broń jądrowa jest najpewniejszym z możliwych „ubezpieczeń od inwazji". Co z naszej perspektywy (zwłaszcza historycznej) wydaje się cechą bardzo pożądaną.

W tym kontekście mniej dziwić powinno badanie CBOS-u, a bardziej to, że temat broni jądrowej dopiero zaczyna przebijać się do mediów oraz świadomości społeczeństwa i polityków. Mam wrażenie, że działa tu ten sam, wynikający z traumy i druzgocących klęsk, mechanizm wyparcia, który zabraniał polskim liderom opinii zastanawiać się nad wiarygodnością zobowiązań sojuszniczych i zabrania oceniania ich probierzem tego, na ile zbieżne są interesy Polski i naszych sojuszników. A także, jakie są ich (sojuszników) realne zdolności, a nie deklarowane intencje.

Polska, w obliczu katastrof dziejowych, które spadły na nią w XX wieku, mogła pójść dwiema ścieżkami: bezwzględnego i cynicznego realizmu, starając się aktywnie ukształtować swoje środowisko bezpieczeństwa tak, aby zminimalizować ryzyko powtórzenia się koszmaru drugiej wojny światowej i jej trwających bez mała pół wieku następstw, albo – i to właśnie zrobiły polskie elity – marzyć i bardzo wierzyć, że po końcu zimnej wojny trwałej i fundamentalnej zmianie uległy same zasady funkcjonowania porządku międzynarodowego; że uwarunkowania prowadzące do tragedii dziejowych spadających na nasz kraj raz na zawsze odeszły do przeszłości. Że nastał koniec historii, a wraz z nim „wilk z barankiem paść się będą razem". Była to wiara tym wygodniejsza, że zdejmowała z elit państwa polskiego cały szereg obowiązków, zostawiając w gruncie rzeczy tylko jeden: konieczność ścisłego trzymania się – i niekwestionowania – obowiązujących norm i zasad postępowania. Całą resztą zajmował się tak naprawdę kto inny. Bezpieczeństwem – USA i NATO. Procesy modernizacyjne państwa były formułowane w znacznej mierze na bazie rekomendacji instytucji międzynarodowych, od Międzynarodowego Funduszu Walutowego po Unię Europejską. Po dołączeniu Polski do NATO i UE znaczna część odpowiedzialności za państwo została zdjęta z barków polskich elit. Gdyby tylko stan ten mógł trwać wiecznie, decyzję tę można byłoby zaakceptować (choć niektórzy zgrzytaliby zębami na brak ambicji).

Rozmowa o broni jądrowej pozostaje w Polsce tematem tabu; jeżeli wybudowanie Centralnego Portu Komunikacyjnego postrzegane jest jako bezmyślna gigantomania, pomysł prowadzenia programu broni jądrowej byłby postrzegany jako gigantomania do kwadratu – na dodatek niebezpieczna. I kto

wie – może tak właśnie jest. Natomiast nie można stwierdzić tego w oparciu o obserwację debaty – czy to akademickiej, czy publicznej – w naszym kraju z jednej prostej przyczyny: w Polsce o broni jądrowej się nie rozmawia, w żadnym wymiarze. Ani w wymiarze zagrożeń związanych z faktem posiadania jej przez Rosję i w odniesieniu do rosyjskiej doktryny deeskalacji nuklearnej. Ani w wymiarze wiarygodności parasola nuklearnego, który nad Polską rozpościerają Stany Zjednoczone i NATO. Wreszcie nie rozmawia się o niej też w wymiarze korzyści, kosztów, zagrożeń i szans stwarzanych przez hipotetyczne autonomiczne narzędzie odstraszania nuklearnego – polską broń jądrową.

Jest to konsekwencja głębokiej internalizacji przez polskie elity norm dotyczących broni jądrowej – i w ogóle norm dotyczących natury relacji międzynarodowych – stworzonych przez USA. Stanom Zjednoczonym udało się skutecznie ukształtować normę, w myśl której dążenie do posiadania broni jądrowej dzisiaj jest domeną pariasów, państw totalitarnych, niestabilnych i agresywnych – Iranów, Korei Północnych czy Syrii tego świata. To znacząca zmiana, w przeszłości bowiem wcale tak nie było. Przeciwnie – opracowanie własnej broni jądrowej było źródłem prestiżu, chociażby dla Indii, Francji czy Wielkiej Brytanii.

Częściowo ten zestaw normatywnych przekonań odpowiada za stan debaty (a konkretnie: całkowity jej brak) w Polsce. Państwa należące do wspólnoty Zachodu – te, które wyrzekły się agresji i były lojalnymi sojusznikami USA, w zamian za co te miały ich bronić do ostatniej kropli krwi – nie powinny interesować się artefaktem czasów słusznie minionych, narzędziem terroru i dominacji. Perspektywę tę przyjęli posłusznie politycy; podobnie uczyniły ośrodki eksperckie i analityczne, niemal całkowicie ignorujące broń jądrową – a jeżeli nawet gdzieś się ona pojawiała, to opisywana była za pomocą najprostszych kalek intelektualnych myśli amerykańskiej.

Dawid Ben Gurion, pierwszy premier Izraela, zauważył kiedyś, że „zrezygnowanie z broni jądrowej przez Izrael – państwo powstałe z Holokaustu i otoczone przez kraje arabskie – byłoby nieodpowiedzialnością". Dyskusja w Polsce zeszła na inne tory. Za nieodpowiedzialność uchodzi raczej zadawanie pytań i krytyczna analiza wiarygodności gwarancji bezpieczeństwa udzielanych nam przez sojuszników. Polska wybrała ścieżkę prymusa nowego porządku międzynarodowego. Obietnicą tego nowego świata było to, że natura relacji pomiędzy państwami uległa prawdziwej, trwałej i nieodwracalnej przemianie – tak, jak ulec miała po pierwszej wojnie światowej. I podobnie jak wtedy gwarancję tego miały stanowić układy o bezpieczeństwie zbiorowym. W przeciwieństwie do okresu inter bellum tym razem na straży porządku stały Stany Zjednoczone, dysponujące miażdżącą przewagą gospodarczą i militarną nad resztą uczestników systemu międzynarodowego.

Jednak stan supremacji technologicznej, militarnej i gospodarczej Stanów Zjednoczonych należy już do przeszłości; co więcej, jedyne państwo, które może teraz realnie zagrozić dominującej pozycji USA w systemie międzynarodowym, nie znajduje się w Europie, a w Azji. Fakt ten ma fundamentalne znaczenie dla sytuacji bezpieczeństwa Polski. Dostrzeżenie go i przyjęcie do wiadomości jest absolutnie kluczowe, bowiem przekreśla on podstawowe założenia przyświecające polskiej polityce ostatnich trzydziestu lat.

W przeszłości, jeżeli dane państwo nie było częścią koalicji balansującej (układu o współpracy pomiędzy państwami zagrożonymi przez inne, silniejsze od nich państwo) bądź nie posiadało wiarygodnego patrona, ale miało silniejszego od siebie konwencjonalnie przeciwnika, który

demonstrował tendencje ofensywne, a na dodatek, jeśli tych dwóch państw nie rozdzielały naturalne przeszkody geograficzne – pasma górskie, morza czy oceany – jego sytuacja była niezwykle trudna. Jeżeli ktoś miał więcej ludzi, więcej armat i więcej pieniędzy, a do tego był blisko i chciał czegoś, co mamy, lista rozwiązań była ograniczona w najlepszym razie do trzech posunięć.

Modelowo państwo zagrożone w takiej sytuacji mogło: a) spróbować stworzyć koalicję państw, które także były zagrożone ekspansjonizmem swego sąsiada, b) podporządkować się lub też c) spróbować zadeklarować się jako państwo neutralne. Inne opcje były wykluczone, ponieważ dysproporcja zasobów (populacja, pieniądze, zdolności przemysłowe) czyniła próbę wytworzenia siły militarnej, która mogłaby skutecznie pokonać agresję, mało realną. Odstraszenie przez odmowę (ang. deterrence by denial) lub uniemożliwienie osiągnięcia celów pozostawały nieosiągalne.

Broń jądrowa wywróciła tę kalkulację.

Jej wynalezienie wraz z powstaniem odpowiednich środków przenoszenia otworzyło, nawet państwom średnim, ścieżkę do narzucenia potencjalnemu agresorowi kosztów tak wysokich, że przewyższały one wszelkie zyski z agresji. To jest właśnie kluczowy element rewolucji nuklearnej. Nieco upraszczając: broń jądrowa stała się tym, czym na Dzikim Zachodzie był rewolwer Colta – wielkim wyrównywaczem szans. Otwierała państwom, które wcześniej nie były zdolne do odstraszania przez odmowę, realną ścieżkę do osiągnięcia efektu odstraszenia przeciwnika w inny sposób.

Niemal zawsze bodźcem decydującym o zainicjowaniu przez dane państwo programu broni jądrowej było zagrożenie zewnętrzne. W niektórych przypadkach odpowiedzią na owo poczucie zagrożenia (a zatem i potrzebę posiadania broni jądrowej) okazywały się sojusze z silniejszym państwem – patronem, który już posiadał narzędzie odstraszania nuklearnego i udzielał swemu słabszemu partnerowi gwarancji bezpieczeństwa. Wielokrotnie jednak nawet te państwa, które cieszyły się mniej lub bardziej formalnymi gwarancjami bezpieczeństwa, w wyniku percepowanej przez nie erozji wiarygodności patrona zaczynały z zainteresowaniem spoglądać w stronę broni nuklearnej. Zarówno Francja, jak i Izrael rozpoczęły realizację programów broni jądrowej w obliczu obaw swojego przywództwa politycznego o możliwe porzucenie przez patrona – Stany Zjednoczone. Z tych samych powodów programy jądrowe lub prace nad technologiami powiązanymi z bronią jądrową prowadziły Tajwan, Republika Federalna Niemiec czy Korea Południowa.

Myślenie o własnej broni jądrowej – jako odpowiedzi na dylematy bezpieczeństwa i obawę przed porzuceniem – nie jest więc zjawiskiem nowym. Wystarczy wspomnieć, że gdy na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku zachwiała się wiarygodność Stanów Zjednoczonych w Azji Wschodniej, o własnej broni jądrowej myśleli (czynią to zresztą nadal) Koreańczycy z południa, rozpoczynając – w tajemnicy przed USA – własny program jądrowy. Nieco ponad dekadę wcześniej, po uzyskaniu przez ZSRR zdolności do bezpośredniego zagrożenia kontynentowi amerykańskiemu dzięki rakietom balistycznym (przez co „przeterminowała się" Eisenhowerowska doktryna zmasowanego odwetu), takie same dyskusje jak w Korei toczyły się – i to z dużym wigorem – w RFN. Obawiając się utraty wiarygodności amerykańskiego odstraszania nuklearnego oraz dysproporcji sił konwencjonalnych pomiędzy Układem Warszawskim a NATO, nad Renem bardzo poważnie myślano o wejściu w posiadanie broni jądrowej, czego za wszelką cenę próbowali Niemcom zabronić Amerykanie, grożąc porzuceniem ich, czyli zostawieniem na pastwę Sowietów.

Wraz z końcem jednobiegunowej chwili, a więc trwającego od końca zimnej wojny okresu bezdyskusyjnej przewagi militarnej i gospodarczej USA nad innymi państwami (chwile, wbrew tezom Fukuyamy, nie trwają wiecznie), kontestowane będą normy postępowania państw. Użycie przemocy lub też groźby jej użycia staną się normą – już się stały, tylko zmiana ta nie została być może dostatecznie zauważona w Polsce. Spowodowana jest relatywnym spadkiem potęgi USA, a jej konsekwencja to powrót do dyskusji o zasadności posiadania własnej broni jądrowej, szczególnie w tych miejscach, które znajdują się w „uskokach tektonicznych" – chociażby na granicach niegdysiejszych stref wpływów wielkich mocarstw.

Dlatego pojawienie się tematu Nuclear Sharing (upraszczając: „współdzielenia" broni jądrowej należącej do USA przez inne państwa NATO) w głównym nurcie debaty publicznej w Polsce jest zjawiskiem paradoksalnie w równym stopniu przewidywalnym, co przełomowym. To dobrze, że o kwestii rozszerzonego odstraszania nuklearnego zaczyna się w Polsce rozmawiać, natomiast przebieg tej debaty jest mikrokosmosem szerszego zjawiska, jakim jest kształt debaty o strategii i bezpieczeństwie Rzeczypospolitej w ogóle. Dodajmy, że kwestia uczestnictwa Polski w programie Nuclear Sharing pojawiła się w oficjalnej retoryce rządzących w 2022 roku, kiedy wspomniał o tym prezydent Duda. Do kwestii uczestnictwa Polski w Nuclear Sharing odniósł się nawet w rozmowie z jednym z dzienników Jarosław Kaczyński – w marcu 2022 roku stwierdził: „jako obywatel [...] chciałbym, by Polska miała broń atomową. Jako odpowiedzialny polityk muszę ocenić ten pomysł jako nierealny". Dlaczego ówczesny wicepremier Kaczyński uznał ten pomysł za nierealny? Z przyczyn politycznych (jeżeli tak, to jakich – braku zgody sojuszników, braku wewnętrznego konsensusu?), militarnych, a może technologicznych? Tego nie wiemy.

Pojawienie się na horyzoncie poznawczym polskich elit kwestii Nuclear Sharing jest przewidywalne, bo wynika z relatywnego słabnięcia Stanów Zjednoczonych. To z kolei skutkuje wzrostem napięć w systemie międzynarodowym; rezultatem tego jest większa gotowość tych państw, które są niezadowolone z zajmowanej przez siebie pozycji, do kwestionowania porządku międzynarodowego – również siłą. Czymże jest agresja Rosji na Ukrainę, jeśli nie próbą wymuszenia akceptacji posiadania przez to państwo własnej strefy wpływów, a więc osiągnięcia celu sprzecznego z zasadami pozimnowojennego porządku? Międzynarodowego? (Nieżyczliwi mogliby zauważyć, że strefę wpływów miały prawo posiadać wyłącznie Stany Zjednoczone).

Wraz ze wzrostem napięć w systemie międzynarodowym państwa, które są najbardziej zagrożone agresją konwencjonalną silniejszych od siebie graczy, zaczynają poszukiwać narzędzi pozwalających im na poprawę swojego bezpieczeństwa. A ponieważ najpewniejszym, najbardziej ultymatywnym z tych narzędzi jest broń jądrowa, na całym świecie – od Niemiec po Koreę Południową – zaczynają się dyskusje nad wiarygodnością parasola nuklearnego roztaczanego przez Stany Zjednoczone nad ich sojusznikami, szukanie alternatywnych rozwiązań (debata w Europie nad francuską bronią jądrową w służbie Europy) i wreszcie rozważania nad zasadnością opracowania własnej broni jądrowej. Państwa chronione wcześniej przez amerykański parasol nuklearny, widząc słabnięcie swojego patrona i wynikające z tego rosnące koszty, które patron musiałby ponieść w ich obronie, po prostu obawiają się porzucenia.

To, że i w Polsce politycy zaczynają ten temat dostrzegać, stanowi przełom. Czynią to jednak bardzo późno, nie rozumiejąc właściwie wcale powodów, dla których w Nuclear Sharing nie jesteśmy. W

rezultacie możemy obserwować, jak bezradnie zmagają się z nowym dysonansem poznawczym pomiędzy „rewolucyjną teorią", w myśl, której układy o bezpieczeństwie zbiorowym są opartym na wartościach magicznym kręgiem przyjaciół, oddanych sobie „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego", a „rewolucyjną praktyką", która wskazuje, że pomimo doskwierającego im coraz mocniej poczucia zagrożenia ich partnerzy, wróć: sojusznicy jakoś nie są skorzy do podjęcia takich działań, które ułagodziłyby ich lęki. Działania polskich elit są więc pierwotnym, ledwie wyartykułowanym krzykiem realizmu – jednak to kiełkujące dopiero poczucie, że coś tu nie gra, to zbyt mało, aby ci, którzy zaczynają je artykułować, zasłużyli sobie na miano mężów stanu, o zapewnieniu Polsce bezpieczeństwa nawet nie wspominając.

Jesteśmy więc na początku długiej drogi – i dotyczy to nie tylko społeczeństwa, ale przede wszystkim elit Polski. O ile bowiem ludzie mogą przynajmniej odwołać się do „chłopskiego rozumu", o tyle w przypadku elit przyjęcie do wiadomości braku omnipotencji USA i konieczności priorytetyzowania przez Waszyngton jednego regionu (Azji Wschodniej) ponad inne (Europa) oznacza załamanie się fundamentalnych założeń dotyczących polityki międzynarodowej – a to może być zmiana percepcji tak zasadnicza, że owe elity nie będą zdolne do jej przyswojenia.

***

Niniejsza książka ma na celu zaproponowanie modelowej ścieżki, którą Polska mogłaby podążać, by:

1) stworzyć warunki do rozpoczęcia programu rozwoju broni jądrowej;

2) następnie ten program przeprowadzić, minimalizując – bardzo realne i bardzo poważne – zagrożenia z tym związane;

3) i wreszcie – w momencie zdobycia i operacjonalizacji broni jądrowej – możliwie najskuteczniej kształtować swoją doktrynę jej użycia.

Zanim jednak zastanowimy się nad tym, jak zdobyć bombę i jak jej używać, musimy odpowiedzieć sobie – w większym szczególe – na podstawowe pytania: gdzie jesteśmy? na czym polegają rosyjskie groźby użycia broni jądrowej i jaki jest ich cel? dlaczego mogą być skuteczne? jakie mechanizmy i jakie uwarunkowania wykorzystują? jakimi gwarancjami objęta jest Polska i czy są one wiarygodne?

Dopiero wiedząc, gdzie jesteśmy – i gdzie będziemy! – możemy zacząć się zastanawiać, w jaki sposób broń jądrową moglibyśmy zdobyć oraz jak powinniśmy jej używać, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo.

NASZA BOMBA – Zakończenie

Książkę "Nasza Bomba" można nabyć pod tym linkiem